

Ścieżka wśród wysokich traw była tak wąska, że cała trójka musiała iść gęsiego. Na czele podążał Ugryź z nosem przy ziemi. Mały, brzydki kundel o sierści koloru musztardy był niczym kompas dla dwóch wiecznie pijanych meneli w średnim wieku, którzy często mieli problem z orientacją w terenie, szczególnie w środku nocy. Poza tym Czesiek i Wiesiek musieli skoncentrować się na bezpiecznym transporcie tego, co znaleźli po całodniowym przeszukiwaniu osiedlowych śmietników. Rozklekotany wózek skrzypiał niemiłosiernie, wyładowany do granic możliwości przedmiotami z plastiku, różnych rodzajów metalu oraz tego, co nie zostało skonsumowane przez sytych.

Byli już blisko swojego koczowiska, kiedy Ugryź stanął jak wryty, postawił uszy i zaczął głośno warczeć, by za moment przejść w ostre szczekanie. Mężczyźni nie zwrócili większej uwagi na zachowanie czworonoga. Spotykali już w tym miejscu zboczeńców, kopulujące pary, podpitych studentów oraz swoich kompanów w niedoli. Wszystkich intruzów potrafili skutecznie przegonić. Pies po chwili niepewności zanurzył się w trawie, nie przestając ujadać.

- Wyczuł, kurwa, jakieś zwierzę – splunął Czesiek. – Pewnie kota.

- Ugryź, do nogi! – wrzasnął Wiesiek. – Zara go zgubimy – dodał ciszej, pociągając nosem.

Niewielki pies rzeczywiście mógł łatwo zniknąć w otaczającej ich scenerii dziko rosnących traw i krzewów, nawet w słoneczny dzień, a co dopiero, gdy panują czarne mroki, lekko tylko rozjaśniane przez trzy czwarte księżyca.

Aż trudno było uwierzyć, że znajdowali się w środku dużego miasta. Teren, nazywany Łaciną, był ostatnim miejscem w centrum Poznania, którego praktycznie nie dotknęła cywilizacja. Jego granice przylegały do wiecznie zakorkowanego Ronda Rataje i wielkich blokowisk. Wkrótce miało się to skończyć. Cały obszar został przeznaczony na osiedle i galerię handlową, ale póki co, pustkowiem służyło jeszcze takim jak Czesiek, Wiesiek i Ugryź.

Szczekanie umilkło, ale narastający szelest deptanej trawy sygnalizował, że pies wraca. Po chwili na ścieżkę wyskoczył Ugryź, cały i zdrowy, ale jakoś dziwnie zdezorientowany. Zamiast ruszyć dalej, wszedł pod wózek, położył się, zwinął w kłębek i zakrył pysk ogonem.

- Ugryź, prowadź! – rozkazał Wiesiek.

- Co on taki wystraszony? – Czesiek spojrzał w kierunku, z którego wrócił Ugryź.

Odpowiedź nadeszła szybciej, niż się spodziewali.

*

Komisarz Karolina Gehl dokładnie obejrzała znalezione zwłoki oraz miejsce zbrodni. Wczesnym rankiem dwóch bezdomnych znalazł jeden z ich kolegów „po fachu”. Najpierw zauważył siedzącego nieruchomo psa. Na widok leżących bezwładnie ciał z odciętymi głowami kolega zwymiotował, a następnie pobiegł prosto na komisariat. Bezdomni zginęli zaledwie sto metrów od ich koczowiska, czyli rozłożystego, samotnego drzewa i kilku krzaków. Idealna letnia rezydencja.

- Widziałem już zamordowanych bezdomnych – technik policyjny złożył komisarz Gehl wstępny raport – ale po raz pierwszy w taki sposób. Bardzo precyzyjna dekapitacja. Jedno cięcie zakrzywionym narzędziem. Specjalista z najwyższej półki.

- Czyli możemy wykluczyć tego, który ich odnalazł – skwitowała Gehl.

- Morderstwa dokonał ktoś o bardzo wysokim wzroście i sporej sile – tłumaczył technik. – Ich kumpel ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu i z trudem utrzymuje butelkę z winem.

Stali na ścieżce, dokładnie w miejscu, gdzie znaleziono Czesława i Wiesława. Wokół było już posprzątane. Teren zabezpieczono, ciała zabrano do policyjnego laboratorium, a Ugryź trafił do schroniska.

- Szkoda, że prawdopodobnie jedyny świadek nie nam nie powie – westchnęła Gehl.

Niestety technik nie miał dla niej niczego na pocieszenie.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów, które mogłyby nas jakoś ukierunkować. W wózku typowe fanty bezdomnych. Nawet nie ruszone. Ktoś naprawdę zadbał, żeby to była czysta robota.

- Zawodowiec morduje dwóch kloszardów. – Komisarz Gehl pokręciła głową. – Po co?

- Może w ramach treningu – stwierdził z całkowitą powagą technik – albo mamy do czynienia z psycholem robiącym to dla zabawy. Odezwę się, kiedy dokładnie ich przebadam.

Gehl wróciła do Komendy Miejskiej przy ulicy Szylinga. Poleciała rzecznikowi prasowemu wydanie stosownego komunikatu dla mediów, bardzo lakonicznego w swojej treści. Makabryczność zbrodni była doskonałą okazją dla tabloidów do stworzenia wizji psychopaty biegającego po Poznaniu i odcinającego ludziom głowy. Stąd już tylko krok do psychozy, która zawsze komplikuje śledztwo. Nie mogła pozwolić na żadne kompromitujące sytuacje. Ciężko pracowała na swoją obecną pozycję. Atrakcyjna, czterdziestoletnia brunetka miała bardzo wysokie notowania w poznańskiej policji.

Po południu zadzwonił technik. Oznajmił, że po dokładniejszym zbadaniu zwłok w zasadzie niewiele ma do dodania. Stwierdził jedynie, że narzędzie, którym odcięto głowy, było zardzewiałe. Problem w tym, że czymś takim trudno jest jednym cięciem skrócić dorosłego człowieka o głowę.

- Jak to wytłumaczyć? – spytała Karolina.

- Nie wiem – przyznał technik. – To musiał być naprawdę super siłacz. Tym bardziej... - zawahał się.

- Tak? – zachęciła go.

- Biorąc pod uwagę miejsca, w których stali w chwili śmierci, i przebieg cięcia, wygląda to tak, jakby morderca ściął ich za jednym razem.

- Dwie głowy? – upewniła się.

- No tak – potwierdził – ale to już w ogóle wydaje się niemożliwe – dodał zaraz. – Tak chyba potrafili tylko samuraje i Podbipięta – starał się żartować.

Podziękowała, przy okazji poprawiając technika, że niejaki Podbipięta miał na swoim koncie trzy głowy, i poprosiła, żeby jutro rano raport z sekcji trafił na jej biurko. Odkładając słuchawkę, westchnęła, ciesząc się, że rozmowy nie słyszeli dziennikarze. Wyobraziła sobie pierwsze strony gazet donoszące, że policja wytypowała już podejrzanych – samuraja i Podbipiętę. To byłby hit sezonu ogórkowego.

Rozmyślenia przerwał telefon. Policjantka dyżurująca w holu komendy poinformowała, że przyszedł człowiek w sprawie morderstwa bezdomnych. Gehl poleciała natychmiast przyprowadzić go na jej piętro, po wcześniejszym sprawdzeniu wykrywaczem metali. Wezwała swojego współpracownika Mariusz Klonowskiego i zapytała, czy poprowadzi z nią tę sprawę.

- Chyba nie mam wyjścia, Karolino – lubił się z nią trochę podroczyć. Znali się jak przysłowiowe „łyse konie”. – A przy okazji przekazuję serdeczne pozdrowienia od mojej żony.

- Dziękuję. Co u Moniki?

- W porządku. Pyta, kiedy wybierzesz się z nią na kawę.

- Powiedz jej, że niedługo, ale najpierw udam się z tobą na rozmowę z gościem, który podobno coś wie.

Niespodziewany gość, który podobno coś wiedział, czekał już w pokoju przesłuchań. Wysoki, w średnim wieku, ubrany skromnie w jasną koszulę i czarne spodnie. Przyprószone siwizną włosy zaczesane były na bok.

- Marcin Proboszcz – przedstawił się, a Gehl poprosiła, żeby usiadł. Razem z Klonowskim zajęli miejsce po drugiej stronie małego stołu.

- Co ma pan nam do powiedzenia? – komisarz oparła splecione dłonie o blat.

- Jestem proboszczem parafii pod wezwaniem św. Rocha. – Widząc miny dwojga śledczych, uśmiechnął się krzywo. – Wiem, jak to brzmi. Ludzie zawsze reagują śmiechem albo pukają się w czoło, ale ja naprawdę nazywam się Proboszcz i jestem proboszczem.

- Znam faceta o nazwisku Prymas – oznajmił Klonowski - ale on nie jest prymasem.

- Przejdźmy do rzeczy. – Gehl zmierzyła współpracownika spojrzeniem przywołującym do porządku. – Pańska... przepraszam, księdza parafia jest położona najbliżej Łaciny.
 - Po drugiej stronie ulicy – uściślił.
 - Co księdzu wiadomo w sprawie morderstwa?
- Proboszcz opowiedział, jak podczas dyżuru w biurze parafialnym odwiedził go młody człowiek, który usłyszał w radiu o zamordowaniu dwóch bezdomnych. Twierdził, że już od dawna spodziewał się złych wydarzeń na Łacinie. Według jego słów ma tam grasować demon ukryty w ludzkim ciele, który czasem przybiera postać pół człowieka, pół psa. Demon, zwany Płonnikiem, w okresie oktawy Bożego Ciała wykrada zboże z niezżętych jeszcze kłosów. Zdolność tę miał posiadać, paktując z diabłem. Posługuje się wielkim sierpem, którym wśród łąnów zbóż wycina wąską ścieżkę, znacząc w ten sposób obszar, który sobie upatrzył. Zboża na tak oznaczonym polu nie wydadzą plonów, a ziarna trafią do Płonnika. Co prawda, na Łacinie od dawna już niczego nie uprawiano, ale nieznajomy utrzymywał, że tym razem demon przybył, aby mścić się na ludziach. Dlatego zginęli bezdomni, którzy przypadkowo na niego trafili. Morderstwa mogą się powtarzać, a jedynym sposobem, aby powstrzymać demona, jest zatknięcie w ziemi poświęconych w kościele gałązek.
- Wyciągnął z małego plecaka dwie zasuszone gałązki i domagał się, żebym je poświęcił – kończył swoją opowieść Proboszcz. – Kiedy odmówiłem, bardzo się zdenerwował. Krzyczał, że będę odpowiedzialny za kolejne tragedie, i wybiegł z biura parafialnego. Odczekałem jeszcze chwilę, żeby ochłonąć, a potem wyszedłem na zewnątrz. Ostrożnie obszedłem dookoła cały kościół, ale nie było po nim śladu. Zajrzałem do kościoła i zobaczyłem, jak zanurza gałązki w chrzcielnicy. Zacząłem krzyczeć, a on szybko uciekł. To musi być niezły wariat, ale ponieważ mówił o morderstwie, zdecydowałem, że przyjdę do państwa i o wszystkim opowiem.
 - Bardzo dobrze ksiądz zrobił. – Gehl nabrała głębszego wdechu. – Proszę nam pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego tego człowieka. Rozumiem, że nie raczył się przedstawić.
 - Przeciwnie. Mówił, że nazywa się Roman Mietkowski.
- Po zakończeniu rozmowy policjanci wrócili do pokoju Gehl i zaczęli zastanawiać się nad tym, co usłyszeli od proboszcza.
- Moim zdaniem świr. – Ocena Klonowskiego nie pozostawiała marginesu na spekulacje.
 - Zgadza się tobą, ale czy świr nie może popełnić morderstwa? – zapytała ostrożnie Karolina.
 - Co proponujesz?
 - Na początek sprawdźmy, czy on rzeczywiście tak się nazywa.
- Usiadła przy komputerze i wpisała w wyszukiwarkę nazwisko wymienione przez księdza. Okazało się, że Roman Mietkowski ma swojego bloga. Jego zawartość wskazywała, że był to ten sam osobnik, który odwiedził proboszcza. Wszystkie wpisy poświęcone zostały stworom ze słowiańskiej mitologii. Na blogu roilo się od nazw demonów, strzyg, czarownic i upiórów. Autor najwięcej miejsca poświęcił Płonnikowi. Wiedza Mietkowskiego była jednak znacznie bardziej pogłębiona i nie opierała się jedynie na ludowych przekazach. Powołując się na odnalezioną kronikę parafialną z początku XIX wieku, opisywał historię ujęcia człowieka, którego podejrzewano, że jako Płonnik działa na terenie dzisiejszej Łaciny. W tamtych czasach obszar nie należał do miasta. Rozciągały się na nim pola i łąki. Nie wiadomo, w jaki sposób miejscowej ludności udało się odkryć, że jeden z ich sąsiadów wszedł w spółkę z siłami nieczystymi. Pewnego dnia człowiek ów został otoczony przez chłopów z widłami. Zamierzali wypędzić go ze wsi, ale on poderżnął sobie gardło dużym sierpem. Zanim to jednak zrobił, oznajmił, że jego duch nie zginie i powróci za dwieście lat, a wtedy zemści się na ludziach.
- Gość ma fantazję – uśmiechnął się Klonowski. – Napisał coś o sobie?
 - Niewiele. Ukończył etnologię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, a później został zatrudniony na uczelni. – Gehl wróciła znowu do treści bloga. – Ostatni wpis pochodzi z poniedziałku.
 - Z wczoraj?

- Tak. Kilkanaście godzin przed morderstwem. Posłuchaj, co napisał.

Płonnik oznaczył teren. Wkrótce pewnie zaatakuje. Straciłem jedyną poszlakę świadczącą o jego istnieniu i zamiarach. Jestem pewien, że on to sprawił. Zresztą nawet gdybym pokazał kronikę na uczelni, i tak by mi nie uwierzyli. Nikt mi nie wierzy, ale wkrótce wszyscy się przekonają.

Gehl stwierdziła, że Mietkowskiemu trzeba się lepiej przyjrzeć.

- Być może wydaje mu się, że jest tym demonem – wyjaśniła. – Postaraj się dowiedzieć, gdzie facet mieszka, a ja uderzę na uczelnię.

*

W Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM dobrze znano Mietkowskiego. Na punkcie Płonnika miał prawdziwą obsesję. Pisał o nim w artykułach i pracach naukowych, które uczelnia odrzucała, nie chcąc narazić się na kompromitację. Próbował potwierdzić swoje teorie, powołując się, na kronikę parafialną z 1811 roku, w której zapisano historię schwytania i śmierci człowieka uważanego za Płonnika.

- Zaproponowaliśmy Romkowi, żeby przyniósł tę kronikę, to zbadamy jej autentyczność – tłumaczył doktorant, który pracował z Mietkowskim. – Wczoraj miał dostarczyć eksponat. Nie zjawił się. Zadzwoił i opowiadał mocno roztrzęsionym głosem, że skradziono mu kronikę. Podobno na ulicy podjechał do niego ktoś na skuterze i wyrwał mu ją spod pachy. Przekonywaliśmy go, żeby zgłosił sprawę policji, ale odpowiedział, że to nic nie da.

- A sam dokument? – interesowała się Gehl. – W jaki sposób Mietkowski wszedł w jego posiadanie?

- Twierdził, że otrzymał w prezencie od nieżyjącego już sąsiada, który nie miał jej komu zostawić. Księga miała zostać uratowana w pożarze wiejskiego kościoła pod koniec XIX wieku. Od tej pory była przekazywana z pokolenia na pokolenie w rodzinie sąsiada. – Doktorant rozłożył ręce. – Taki dokument, nawet jeśli istnieje, nie jest dowodem na to, że po świecie chodzą demony czy inne siły nadprzyrodzone. Nie na tym polega etnologia.

- Domyśla się pan, gdzie może teraz być Roman?

- Nie mam pojęcia. Poprosił o tygodniowy urlop. Czy on narobił sobie problemów?

Zanim zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, zadzwonił Klonowski, prosząc o szybkie załatwienie pozwolenia wejścia do mieszkania Mietkowskiego.

- Formalnie Mietkowski jest zameldowany u rodziców na Starym Mieście – relacjonował Klonowski – ale dwa tygodnie temu wyprowadził się od nich. Zamieszkał w ciekawym miejscu. Kojarzysz nowy wieżowiec przy Rondzie Rataje?

- Ten obok stacji benzynowej i dworca autobusowego?

- Dokładnie. A co znajduje się po drugiej stronie ulicy?

- Osiedla mieszkaniowe.

- A w kierunku wschodnim?

- O cholera!

- Wieżowiec ma dwanaście pięter. On wynajął mieszkanie na jedenastym. Ma piękny widok na całą Łacinę – podsumował zadowolony z siebie Klonowski.

Za pół godziny Karolina Gehl była w wieżowcu z odpowiednim zezwoleniem i dwoma funkcjonariuszami. Trzydziestometrową kawalerkę z aneksem kuchennym urządzone bardzo skromnie. Tapczan, szafka, jedno krzesło, w małej lodówce serek topiony i napoczęty sok. Jedynym przedmiotem burzącym ascetyczny wizerunek był teleskop stojący przy oknie. Brakowało dwóch najważniejszych elementów. Lokatora i narzędzia zbrodni.

- Karolino, czy możesz tu podejść!? – zawołał Klonowski patrząc przez lunetę.
- To chyba on – ucieszyła się, zerkając przez teleskop. Wśród wysokich traw Łaciny szedł jakiś mężczyzna z podręcznym plecakiem. – Odwiedza miejsce zbrodni. Wyjdziemy mu na spotkanie.
- Wchodząc na teren Łaciny, rozdzielili się, żeby otoczyć Mietkowskiego. Gehl razem z jednym policjantem skradała się pochylona w trawie. Gdzieś z drugiej strony przedzierał się Klonowski z drugim funkcjonariuszem. Karolina zbliżyła się do samotnie rosnącego drzewa. Wtedy usłyszała przeraźliwy krzyk. Razem z towarzyszącym jej policjantem zaczęła biec z całych sił. Rozległ się kolejny krzyk. Wiedziała, że jest już blisko. Dopadła wreszcie wąskiej ścieżki, na której popełniono morderstwo, i zamarła. Ciało Klonowskiego i drugiego policjanta leżały jedno na drugim, a tuż obok ich głowy. Nad zabitymi stał mężczyzna trzymający w ręku zakrwawiony sierp. Karolina, z trudem opanowując drżenie na całym ciele, wycelowała w niego pistolet. Mietkowski upuścił sierp i uniósł ręce w górę.
- Ja tego nie zrobiłem – wyjąkał.
- Zamknij się gnoju! – wrzasnęła komisarz i osobiście zakuła go w kajdanki, zaciskając je najmocniej, jak się dało.

*

Po uroczystościach pogrzebowych szef poznańskiej policji zaprosił komisarz Gehl do swojego gabinetu. Zaproponował, żeby udała się na dłuższy urlop. Przekonywał, że to się jej należy, a nawet jest bardzo wskazane.

- Czym sobie zasłużyłam? – Wzruszyła ramionami. – Zginęło dwóch policjantów, za których odpowiadałam.
- Ujęłaś niebezpiecznego psychopatę – przypomniał komendant. – Prokurator postawił mu już zarzut zabójstwa czterech osób.
- Mietkowski nie przyznaje się.
- To nie ma znaczenia. Dowody są aż nadto oczywiste. Jedyne, czego uczepli się obrona, to próba uznania go za niepoczytalnego, ale ja do tego nie dopuszczę. – Komendant zacisnął zęby. – Załatwił dwóch naszych.
- Nadal nie potrafię zrozumieć, jak ktoś uzbrojony tylko w sierp, mógł zabić dwóch policjantów z bronią – Gehl po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich kilku dni zadała to pytanie.
- Błagam cię, Karolino, nie rozpamiętuj już tego, bo zwariujesz. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – Musisz wrócić do równowagi. Jesteś silna. Dasz radę.

Podziękowała szefowi i pojechała do swojego mieszkania, żeby pobyć trochę w czterech ścianach. W pracy rzeczywiście trudno było jej wytrzymać. Wszystko przypominało jej o Klonowskim.

Ledwie jednak zamknęła za sobą drzwi i usadowiła się na sofie, rozległ się dzwonek domofonu. Żona, a właściwie już wdowa po Klonowskim. Były dobrymi koleżankami, ale od śmierci męża Monika się z nią nie kontaktowała.

- Przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale musiałam się z tobą zobaczyć.
- Widok jej smutnej twarzy chwytał ze serce. Karolina zaprosiła ją do pokoju.
- Jeżeli mogę ci w czymś pomóc... - zaczęła, ale Monika szybko jej przerwała.
- Wybacz, że nie odzywałam się tak długo. Chcę, żebyś wiedziała, że nikogo z policji nie obwiniam za śmierć Mariusza, a zwłaszcza nie ciebie.
- Dziękuję. To dla mnie bardzo ważne.
- Chciałam o coś zapytać. – Monika mocno zaciskała dłonie. – Pracowałaś z nim. Czy Mariusz miał kogoś? To znaczy inną kobietę.
- Skąd ci to przyszło do głowy? – mogła spodziewać się każdego pytania, ale nie tego.
- On był ostatnio jakiś inny. Unikał mnie. Przestał ze mną sypiać. Spędzał noc w drugim pokoju na

kanapie. – Monika otarła łzy. – Wiem, że to nie mogłaś być ty. Po prostu cię znam. Boże, co ja wygaduję.
– Wyjęła chusteczkę.
Karolina nalała jej szklankę wody. Sobie też.
- Od kiedy zaczął się tak zachowywać?
- Parę dni przed śmiercią. A ostatnią noc spędził poza domem. Oświadczył, że ma nagłe wezwanie. Wrócił nad ranem. Wystraszyłam się, bo na twarzy miał ślady krwi. Szybko je zmył. To nie była jego krew. Pytałam, co się stało, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Zjadł śniadanie i znowu wyszedł. Czy on naprawdę miał jakąś nocną akcję?
- W tej chwili nie pamiętam. – Karolina przyłożyła dłoń do skroni. Doskonale wiedziała, że tamtej nocy Mariusz nie był nigdzie wzywany.
- Dzisiaj dowiedziałam się, że wynajął mieszkanie – ciągnęła Monika. – Właściciel zobaczył jego zdjęcie w gazecie. Sporo o tym pisano. Skontaktował się ze mną i zwrócił zaliczkę, którą wpłacił Mariusz. Dobrze, że można jeszcze spotkać takich ludzi. Zgodził się też, żebym na chwilę zajrzała do tego mieszkania. To była mała kawalerka. Nie zdążył jej nawet umeblować. Puste ściany, jakby nikt tam nie mieszkał. Jest jeszcze jedna rzecz – nie mogła powstrzymać potoku słów. – Mariusz kupił sobie skuter. Trzymał go w podziemnym garażu w tym bloku. Skutery nigdy go nie interesowały.
- Gdzie wynajął mieszkanie? – zapytała Karolina i wypila łyk wody.
- W tym nowym wieżowcu, przy Rondzie Rataje.
- Pamiętasz numer mieszkania?
- Tak się składa, że zapamiętałam. – Monika pociągnęła nosem. – Mieszkanie 127. Na ostatnim piętrze. Karolinaomal nie upuściła szklanki. Ostatnie piętro dokładnie nad mieszkaniem Mietkowskiego. Z widokiem na Łacinę.
- Wiesz, co było najdziwniejsze? – Monika nie skończyła jeszcze festiwalu rewelacji. – W tym pustym mieszkaniu na środku pokoju stało metalowe wiadro. Były w nim resztki spalonych kartek papieru i to – sięgnęła do torby, którą cały czas trzymała przy sobie. Wyjęła z niej ciemnobrązową, skórzaną oprawę po książce, z której ktoś wyrwał wszystkie kartki. Chociaż skóra lekko się nadpaliła, na grzbiecie bez problemu można dało się odczytać, że była to kiedyś kronika parafialna z 1811 roku. – Nic już z tego nie rozumiem – pokręciła głową.
Karolina rozumiała coraz więcej, chociaż jej racjonalistyczny umysł bronił się przed taką interpretacją. Chwyliła Monikę za rękę.
- Możesz być pewna, że Mariusz bardzo cię kochał i nigdy by ciebie nie zdradził. – Tego była absolutnie pewna. – Prawdopodobnie przeszedł jakieś załamanie. Gliniarzom to się zdarza. Taka praca. Mariusz został dzisiaj pochowany z honorami. Pamiętamy go jako dobrego policjanta i wspaniałego człowieka. Niech tak zostanie. Rozumiesz?
Monika pokiwała głową i z całych sił objęła Karolinę.
- Mam do ciebie prośbę i nie przyjmę odmowy. – Postarała się o uśmiech. – Chcę, żebyś zaopiekowała się skuterem po Mariuszu. Ja się na tym nie znam.
- Niech będzie – zgodziła się Karolina.
Monika została jeszcze chwilę, żeby ochłonać, a kiedy wyszła, Gehl wyjęła z szuflady biurka kopię zeznań Mietkowskiego i zaczęła z uwagą czytać tekst, który kilka dni temu tylko pobieżnie przejrzała.

Udałem się na Łacinę, żeby zatknąć poświęcone gałązki na ziemi, którą opanował Płonnik. To jedyny sposób na powstrzymanie demona. W przeciwnym razie byłby aktywny przez resztę oktawy Bożego Ciała. To raptem kilka dni, ale kto wie, ilu ludzi mógł jeszcze zabić. Przyszedł się zemścić za to, co spotkało go dwieście lat temu. Tym razem nie zamierzał wycinać zboża, którego na Ławicy i tak od dawna już nie ma. Przewidziałem, kiedy nastąpi jego aktywność. Próbowiałem o tym mówić, ale nikt mnie nie słuchał. Musiałem sam temu zapobiec. Przyszedłem z gałązkami, które poświęciłem w kościele. Gdy byłem już na

miejscu zbrodni, nadeszło dwóch policjantów, przedstawili się i zapytali, co tu robię. Próbowałem wytłumaczyć, a wtedy ten ubrany po cywilnemu, który przedstawił się jako Mariusz Klonowski, wydał z siebie krzyk i na moich oczach zmienił się w pół człowieka, pół psa. Jedna z jego rąk nadal przypominała ludzką i bardzo się wydłużyła. Trzymał w niej duży sierp. Zamachnął się szeroko i odciął głowę policjantowi w mundurze. Następnie skierował się w moją stronę. Sięgnąłem błyskawicznie do plecaka, wyjąłem z niego gałazki i wbiłem w ziemię. Płonnik zatrzymał się i znowu przeraźliwie ryknął. Zaczął się jakby rozdawać. Wyłoniła się z niego postać policjanta, bezwładna, chwiejąca się. Płonnik odciął mu głowę, zanim ten zdążył upaść. Potem demon stał, przez chwilę mierząc mnie nienawistnym wzrokiem, a następnie rozplynął się w powietrzu. Zrozumiałem, że udało się go pozbyć. Niestety, odchodząc, zdążył jeszcze zabić człowieka, którego ciałem zawładnął. Kiedy po demonie nie pozostał już żaden ślad, z przerażeniem zauważyłem, że trzymam w ręku jego sierp. W tym samym momencie pojawiła się policjantka. Płonnik zemścił się na mnie. Odpowiem teraz za jego zbrodnie.

PS. Cały czas mam wrażenie, jakbym już gdzieś widział tego policjanta. Tego Klonowskiego.

*

Następnego dnia, bardzo wczesnym rankiem Karolina złożyła wizytę właścicielowi, od którego Mariusz wynajmował mieszkanie. Poinformowała, że podkomisarz Klonowski wykonywał tajne zadanie, do którego potrzebne było mieszkanie operacyjne.

- Proszę zachować ten fakt w absolutnej tajemnicy. Ten człowiek nigdy tutaj nie mieszkał. Nigdy go pan nie spotkał. Jego żony również. Rozumiemy się? – zmierzyla właściciela surowym wzrokiem.

- Oczywiście – zapewnił przejęty mężczyzna.

Następnie wzięła skuter Klonowskiego i pojechała nad Jezioro Kierskie, leżące na granicy miasta. Znalazła najbardziej odludne miejsce, rozejrzała się uważnie dookoła i wepchnęła maszynę do wody. Wcześniej do małego bagażnika włożyła oprawę po kronice parafialnej. Przez chwilę pomyślała o Mietkowskim. Jemu nie mogła już pomóc.

KONIEC

Podziękowania dla Wasinki za pomoc i spojrzenie na tekst korektorskim okiem. Opowiadanie zostało przygotowane na konkurs, ale przepadło. Wrzucam więc na PP i sami oceńcie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Olaf Tumski, dodano 21.10.2012 19:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.